

Od autora: Tekst został opublikowany na: <http://xmetelica.eu/>.

Mupoks było niewielką osadą, jak wiele innych miejscowości rozsianych po całym Cesarstwie. Położone na południowo-zachodnich obrzeżach państwa, nie zwracało niczyjej uwagi, wypełnione najzwyklejszymi drewnianymi domami, wybudowanymi ciasno obok siebie, najczęściej z jedną wielką izbą i dachem pokrytym słomą. Na samym środku miasteczka znajdował się niewielki plac z kilkoma straganami, gdzie kupcy zachwalali produkty miejscowych rzemieślników, a gospodarze, których pola rozsiane były po całej okolicy, starali się sprzedać owoce swojej ciężkiej pracy. Z placu wychodziły w różnych kierunkach trzy ulice, nazywane przez mieszkańców kupiecką, świątynną i morską.

Na tej pierwszej, prowadzącej ku bramie wschodniej, było zawsze najwięcej ludzi, ponieważ tutaj znajdowała się większość warsztatów rzemieślniczych oraz gospoda.

Ulica świątynna wypełniała się ludźmi tylko w czasie największych uroczystości, gdyż wszyscy byli zobowiązani do uczestnictwa w obrzędach ku czci cesarza i składania obowiązkowej daniny. Przed wejściem do świątyni zawsze płonęły dwa znicze, a ze środka wydobywał się intensywny zapach kadzideł i różnych ingrediencji, których kapłani używali w codziennym kulcie. Był to też jedyny budynek w osadzie wybudowany z kamienia. Poza czasem świątecznym można było tu spotkać tylko mieszkańców idących do swoich domów z innych części osady oraz podróżnych korzystających z bramy północno-zachodniej. Zaraz obok świątyni znajdował się dom zielarza, którego głównym zadaniem było zaopatrywanie świątyni w kadzidła. Sam zielarz sprzedawał także różne eliksiry, jednak ze względu na wysoką ich cenę, mogli na nie pozwolić sobie tylko nieliczni mieszkańcy Mupoksu.

Trzecia ulica, nazywana morską, wychodziła z placu w kierunku bramy północno-zachodniej, za którą rozciągały się rozległe równiny oraz pola uprawne.

Życie w Mupoksie płynęło swoim spokojnym rytmem z dala od wielkich spraw tego świata. Do najbliższego dużego miasta, Segardu, będącego stolicą prowincji, było ponad dwieście mil, nie wspominając o stolicy Cesarstwa, która w świadomości mieszkańców stała się czymś w rodzaju mitu czy legendy. Stąd podróże mupoksian prowadziły najwyżej do kilku wiosek, położonych w pobliżu. Tym bardziej, że dalsze wyprawy zazwyczaj wiązały się z ryzykiem spotkania bandytów lub stada dzikich zwierząt, których nie brakowało w okolicy. W tym względzie najgorszą sławą cieszył się Zakazany Las – do niego bali się wchodzić nawet wartownicy, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo w osadzie i pilnowali bram miasta.

Największą atrakcją Mupoksu była gospoda Pronibus, znajdująca się zaraz przy placu handlowym. Był to dwupiętrowy budynek, jeden z największych w całym mieście, dzięki czemu był doskonale widoczny i od razu rzucał się w oczy po wejściu do osady. Na parterze znajdowała się sala dla gości – na środku stał długi drewniany stół, a przy nim szerokie ławy do siedzenia, natomiast w kątach izby ustawiono cztery mniejsze stoliki z mnóstwem krzeseł z każdej strony. Obok znajdowała się kuchnia, z której każdego dnia dolatywały zapachy zupy, pieczonego mięsa, gotowanych warzyw oraz piwa, a ślady tego trunku widać było na każdym fragmencie podłogi. Zaraz obok kuchni była izba dla służby oraz stajnia, natomiast na pierwszym piętrze znajdowały się cztery pokoje dla gości oraz niewielkie mieszkanie gospodarzy, wygodne i urządzone ze smakiem.

Gospoda należała do państwa Abbatellich, prowadzących ją od czterech pokoleń. Było to miejsce spotkań przyjezdnych kupców, cesarskich żołnierzy oraz miejscowej społeczności, która choć przyzwyczajona do

spokoju i rutyny, mimo wszystko była żądna wieści ze świata (oczywiście, jeśli za świat uznać obszar w promieniu kilkudziesięciu mil).

Nasza historia rozpoczyna się właśnie w tym miasteczku...

Wszystko zaczęło się pewnego letniego wieczoru w gospodzie Pronibus, gdzie jak zawsze było dużo ludzi. Chłopi po ciężkim dniu pracy popijali piwo z kufla, kupcy rozmawiali o cenach towarów i spodziewanych w tym roku zbiorach, a żołnierze siedzący w kącie głośno siorbali zupę, zagryzając każdą łyżkę grubymi pajdami chleba. Nic nie zapowiadało, że cokolwiek może zburzyć spokój tego miejsca.

W pewnym momencie, gdy słońce zniknęło już za horyzontem i robiło się coraz ciemniej, w drzwiach gospody stanął wędrowiec, który wyglądem nie przypominał nikogo z osób, zazwyczaj odwiedzających Mupoks.

Nosił długie czarne włosy sięgające ramion, pośród których prześwitywały już pojedyncze, srebrne kosmyki; miał wąskie, zaciśnięte usta, prosty nos, i niezwykle oczy, mieniające się wszystkimi odcieniami fioletu, jak ametyst. Przybysz ubrany był w lekkie skórzane spodnie i wysokie buty, przypominające te, które nosili cesarscy strażnicy. Miał na sobie czarną skórzaną kamizelkę oraz koszulę z długimi rękawami – prawdopodobnie kiedyś była biała, lecz teraz przybrała kolor błotnej kałuży. Na ramionach nosił brudny, czarny płaszcz sięgający kostek, co wydawało się nieco dziwne, biorąc pod uwagę letni upał. Nie wyglądał na zmęczonego podróżnika, ale był bardzo skupiony. Wszedł do sali i zatrzymał się dwa kroki za drzwiami, rozglądając się po izbie, która coraz bardziej cichła, starając się nie zwracać uwagi na nieznanego i dziwnego przybysza. Tym bardziej, że nienaturalnie fioletowe oczy przybysza wydawały się bardzo zimne.

Po chwili wędrowiec zrobił kilka kroków i zapytał stojącego za ladą karczmarza:

– Macie wolny pokój?

– Mamy... – zaczął niepewnie Abbatelli. – Ale trzeba płacić z góry! – dokończył.

– Mam pieniądze – odpowiedział cicho nieznajomy, sięgając do pasa po sakiewkę. Dopiero wtedy wszyscy zebrani, którzy ani na chwilę nie przestali gapić się na wędrowca, zobaczyli, że nosi ukryty pod płaszczem i przypięty do skózanego pasa długi miecz. Pochwa, z umieszczoną w niej bronią była bardzo bogato zdobiona, a rękojeść stanowiła prawdziwe dzieło sztuki. Kował, siedzący w końcu izby i wraz z innymi wpatrujący się w przybysza przybysza, gwizdnął pod nosem z uznaniem. Nieznajomy ani razu nie zareagował ani na panującą ciszę, ani na reakcje na sali.

– Jak długo macie zamiar zostać? – zapytał gospodarz.

– Nie jestem pewien... może kilka dni – odpowiedział nieznajomy. – Zapłacę od razu za tydzień.

– W takim razie należy się dziesięć i pół florena – Abbatelli odruchowo oblizał wargi, nie zwracając uwagi na zdziwione miny gości na sali. Gospodarz po latach pracy znał się na ludziach, wiedział, że nieznajomy pomimo znacznie zawyżonej ceny nie będzie się targował. Zwykle za noc w Pronibusie należało płacić 30 groszy, czyli pół florena.

– Drogo tu u was – zauważył wędrowiec, sięgając do sakiewki, by odliczyć żadaną kwotę.

– Ano drogo, co zrobić? Takie mamy czasy – odpowiedział karczmarz z miną człowieka, który wiele już w życiu przeżył. Widząc jednak, że wędrowiec wyciąga monety z samego dna sakiewki, dodał: – A niech będzie moja strata... Zapłaćcie dziesięć florenów i macie pokój na cały tydzień!

Abbatelli miał wrażenie, że kąciki ust nieznajomego podniosły się nieznacznie, co w każdym innym przypadku sprawiłoby wrażenie lekkiego uśmiechu, jednak teraz nadały twarzy wędrowca złowrogi wyraz.

Gospodarz jednak bardzo krótko cieszył się perspektywą dobrego zarobku, ponieważ w izbie, która wróciła już do normalnego gwaru i nie patrzyła na zakończenie transakcji, znowu zrobiło się cicho. Dwaj żołnierze, do tej pory siedzący w kącie, wstali od stołu i pewnym krokiem zaczęli iść w stronę wędrowca. Nieznajomy przy odliczaniu dziesiątego florena zobaczył ich kątem oka i od razu wrzucił odliczoną kwotę z powrotem do sakiewki. Abbatelli zrobił minę dziecka, któremu właśnie ktoś zabrał ulubioną zabawkę.

Nieznajomy stał nieruchomo, wciąż odwrócony plecami do żołnierzy.

– Ej, ty tam! – zawołał pierwszy żołdak, zionąc zapachem piwa i zupy cebulowej. Był średniego wzrostu i nosił czarną, gęstą brodę, posklejaną resztami zupy. – Czego tu szukasz?

– Chcę wynająć pokój. – odpowiedział spokojnie przybysz, dopiero teraz odwracając się w kierunku żołnierzy. – To zdaje się, nie jest zabronione. – dodał, nie uśmiechając się.

Wszyscy goście gapili się na całą scenę bardzo zaskoczeni, ponieważ nikt nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wydarzyło się w gospodzie coś podobnego. Cesarscy żołnierze nie cieszyli się co prawda przesadną sympatią, ale też nikogo nie zaczepiali. Inna rzecz, że mieszkańcy Mupoksu byli bardzo oddani Cesarstwu: nigdy cesarski żołnierz nie opuścił osady głodny, czy też poborca podatków nie został oszukany, a kapłani byli otaczani powszechnym szacunkiem, choć nawet nikt do końca nie wiedział, czym tak naprawdę się zajmują. I zawsze, ale to zawsze każdy cesarski dekret był dokładnie wypełniany. Oczywiście nie działo się tak dlatego, że mieszkańcy Mupoksu byli w jakiś szczególny sposób lepsi, uczciwszy czy pobożniejsi od innych. Po prostu żyjący tu ludzie przyzwyczaili się, że jest nad nimi Cesarstwo, które wiele od nich wymaga, ale póki mogli wiązać koniec z końcem i usiąść wieczorem przy kuflu piwa, nie było powodów do narzekań. I dlatego scena, rozgrywająca się na oczach gości Pronibusa wywołała taką konsternację i zaniepokojenie, widoczne na wielu twarzach.

– Może i nie jest – powiedział drugi żołnierz, mierząc wędrowca z góry na dół. – Ale to porządny lokal i mamy prawo zrewidować każdego, kto tu się zjawi.

Niektórzy goście szeroko otworzyli oczy. Nikt nie słyszał o takim prawie, ale też nikt nie zamierzał się odezwać, czy tym bardziej stanąć w obronie obcego.

– No to pokaż, co tam chowasz pod płaszczem, obdartusie! – powiedział brodaty i wskazał miejsce, gdzie przed chwilą pojawił się niezwykle miecz.

– Obawiam się, że to nie wasza sprawa – odpowiedział nieznajomy, patrząc żołnierzom prosto w oczy. Dopiero teraz, gdy zwrócił się w stronę sali, widać było, że jest nienaturalnie blady.

– Nasza, nasza – zarechotał kompan brodatego, uśmiechając się szyderczo i pokazując zepsute zęby. – Znasz cesarski dekret? „Wszystkim...tym, no...obywatelom nakazuje się, żeby zapewnić właściwe uzbrojenie wszystkim żołnierzom i strażnikom Cesarstwa... jest obowiązkiem każdego obywatela i obowiązuje do czwartego pokolenia, zgodnie z tym...eee... stanem posiadanych środków i możliwościami” – dokończył bardzo z siebie zadowolony.

– Hmm... nie bardzo rozumiem – powiedział nieznajomy. – Sam to wymyśliłeś, czy kolega ci pomógł?

– Ty, Gotard, patrz go, jaki wygadany! – powiedział brodaty do swojego towarzysza, opierając dłoń na rękojeści krótkiego miecza. Jego kompan także przygotował się do wyciągnięcia broni, którą nosił przytwierdzoną do pasa.

– Przykro mi, ale nie mogę wam pomóc – powiedział tym samym spokojnym tonem nieznajomy. – Nie ma takiego prawa, a to, co noszę przy sobie jest moją własnością i nie podlega rewizji.

– Spokojnie, my jesteśmy uczciwi ludzie i nie chcemy ci zrobić nic złego – powiedział żołnierz, nazwany wcześniej Gotardem, z groźnym błyskiem w oku. – Oczywiście, że nie chcemy zabrać twojego miecza. Ale nie może być tak, że porządni żołnierze noszą przy sobie byle szrot, a jakiś przybłęda ma przy sobie takie cudeńko. Proponuję wymianę: twoja broń za moją. Dobrze, nie? – Gotard głośno zarechotał.

– Proponuję co innego – powiedział wędrowiec, starając się panować nad sobą. – Wróćcie do stolika i skończcie waszą zupę. Zimna nie jest już potem taka dobra.

– Wiesz, śmieciu, że możemy przetrzepać ci skórę? – krzyknął brodaty, słysząc cichy chichot dochodzący z sali, a następnie wyjął miecz i wycelował klingę w stronę wędrowca.

– Panowie, dajcie spokój! Sami powiedzieliście, że to porządny lokal – rzekł gospodarz, łamiącym się głosem.

– Stul pysk, stary dziadu, bo i tobie może się dostać! – syknął Gotard, patrząc wściekle na gospodarza. – Dawaj Slen, wyciągamy go na zewnątrz!

– Czekaj, przecież on nie jest taki głupi, żeby się stawiać dwóm żołnierzom...

– Myślę, że twój towarzysz ma rację. Wyjdźmy lepiej na zewnątrz – powiedział przybysz i ze spokojem rozejrzał się po sali. Wszystkie oczy były zwrócone w jego stronę, a ich właściciele wydawali się jakby skurczeni. W powietrzu unosił się łatwy do rozpoznania zapach strachu. – Nie chcecie przecież niepokoić tych dobrych ludzi – powiedział wędrowiec takim tonem, jakby zwracał się do niesfornych dzieci.

– Dość! – krzyknął Gotard i zamachnął się na nieznajomego mieczem, który znalazł się w jego ręku. Wędrowiec zrobił błyskawiczny unik, i ostrze przeleciało nad jego głową. Siła zamachu sprawiła, że Gotard stracił na chwilę równowagę i odruchowo zrobił krok do tyłu, żeby ją odzyskać. Noga szukająca oparcia stanęła dokładnie w miejscu, gdzie ktoś chwilę wcześniej rozlał sporo piwa i żołnierz runął na ziemię, wzbudzając tym prawdziwą salwę śmiechu. Jego towarzysz, Slen, zamachnął się na przybysza, celując prosto w korpus, jednak niespodziewanie, mając Getarda pod nogami, sam też runął na ziemię jak długi.

– Czekam na panów na zewnątrz – powiedział nieznajomy, kierując się w stronę drzwi gospody.

Żołnierze szybko pozbiali się z podłogi. Mieli wypieki na twarzach i żądzę mordy w oczach. Gdy rozejrzeli się po izbie, niektórzy jeszcze się uśmiechali z rozbawieniem. Widząc jednak wściekłość żołnierzy, na żadnej twarzy nie pozostał choćby ślad wesołości.

– Zaraz policzymy się i z wami, żartownisie! – powiedział Slen przez zaciśnięte zęby i wybiegł za swoim towarzyszem, który już był na zewnątrz.

W sali zapanowała grobowa cisza. Nikt nie miał odwagi się ruszyć, ani wypowiedzieć choćby jednego słowa. Wszyscy byli przerażeni zachowaniem żołnierzy. Najbardziej wystraszony był Abbatelli, któremu trzęsła się szczeka tak, jakby miał gorączkę. Żaden z gości jeszcze nigdy w swoim życiu nie widział, żeby żołnierze w tak ewidentny sposób wykorzystali swoją pozycję. To prawda, że w Mupoksie żaden z mieszkańców nie miał cennych rzeczy, o które jakiś żołnierz mógłby się upomnieć czy być zazdrosny, a już na pewno nikt nie posiadał niczego, co dorównywałoby wartością broni wędrowca.

Teraz wszyscy nasłuchiwali, co się dzieje na zewnątrz. Jeszcze przed chwilą słyszeli pokrzykiwanie wychodzącego Gotarda, jednak tuż po wyjściu Slena zapanowała głęboka cisza. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk, poza tym jednym, charakterystycznym brzęczeniem przyrody, które towarzyszy letnim wieczorom.

Nie było słychać walki, żadnego krzyku, odgłosów ucieczki. Nic. To jeszcze bardziej pobudzało wyobraźnię, która w każdej głowie tworzyła coraz dziwniejsze scenariusze.

– Może od razu się pozabijali i teraz tam leżą – odezwał się kowal, przerywając ciszę.

– Daj spokój, przecież coś byśmy usłyszeli – stwierdziła starsza kobieta, prowadząca stragan z warzywami.

– To może tam stoją i się gapią na siebie? – powiedziała inna. – Widzieliście jego oczy? Tego nieznanego? Z takim typem, to nigdy nic nie wiadomo – dokończyła z przekąsem.

– I nie wyglądało, żeby bał się żołnierzy – rzekł chłopak pracujący w cesarskim magazynie, znajdującym się na ulicy kupieckiej.

– Chciałeś chyba powiedzieć: nie bał! Widziałeś jak oni się wściekli? – rzekł syn piekarza. – Mam nadzieję, że tylko go okradną...

– Bądźcie cicho! Bo jeszcze nas usłyszą! – szepnął trzęsącym się głosem gospodarz, który wyglądał jak siedem nieszczęść. Teraz pluł sobie w brodę, że nie odesłał wędrowca z kwitkiem albo od razu nie dał mu pokoju za darmo.

Nieznośna cisza przedłużała się niemiłosiernie i nagle wszyscy wstrzymali oddech, bo ktoś otworzył drzwi do gospody.

– Bardzo przepraszam, ale nie będę mógł się tutaj zatrzymać – rzekł wędrowiec, zwracając się do gospodarza. Powiedział to tak spokojnie, jakby w ogóle nie uczestniczył w awanturze, o której wszyscy byli pewni, że będzie mieć tragiczne skutki. Goście na sali gapili się na niego jak sroka w gnat, próbując wypatrzyć cokolwiek, co pozwoliłoby odgadnąć, jak potoczyła się sytuacja na zewnątrz gospody.

Niektórzy odczuli zawód, bo nie było widać śladów krwi, ani nawet zadrapania, a ubranie wędrowca nie

zdradzało najmniejszych znaków bójkę czy szarpaniny. Nic się nie zmieniło w wyglądzie nieznajomego, poza tym, że wydawał się jeszcze bardziej blady.

– Ale... co się stało? – wyjąkał gospodarz.

– Panowie Gotard i Slen uznali, że powinni udać się bezzwłocznie na nowy posterunek. Zdaje się, że poszli w kierunku bramy wschodniej – powiedział wędrowiec takim tonem, jakby mówił, że jest ciepły i pogodny wieczór. Następnie poprawił płaszcz na ramionach i udał się do wyjścia. Abbatelli, który cenił sobie zarobek, ale jeszcze więcej święty spokój, postanowił nie zatrzymywać gościa.

Większość osób, mniej lub bardziej dyskretnie, wyszło z gospody, by zobaczyć czy słowa nieznajomego są prawdziwe. Drzwi Pronibusa wychodziły na ulicę kupiecką, więc wystarczyło spojrzeć w prawo, by zobaczyć bramę, o jakiej mówił wędrowiec. Tam dostrzegli dwóch znajomych żołnierzy, którzy szybkim wojskowym krokiem podążali na wschód.

Do grona gapiów dołączył na krótką chwilę nieznajomy, wpatrując się w żołnierzy i szepcząc coś pod nosem. Niektórzy mieli odwagę jeszcze spojrzeć na wędrowca, lecz natychmiast odwracali wzrok. Jeszcze nigdy nie widzieli uśmiechu, który byłby aż tak smutny.

Po chwili nieznajomy odwrócił się i ruszył w kierunku placu na środku osady. Zatrzymał się, zastanawiając, w którą stronę się udać. Zostawiając za plecami ulicę kupiecką, spojrzał najpierw w prawo i skrzywił się na widok cesarskiej świątyni, a następnie skręcił w lewo w ulicę morską i podążył w stronę bramy – była jeszcze otwarta.

Gdy zbliżał się do wartowników, usłyszał za sobą szybkie kroki i zdyszany głos:

– Poczekajcie! Wiem, że szukaliście noclegu w gospodzie – wydyszał mężczyzna w wieku około pięćdziesiątki, ubrany w porządną strój farmera. Gdy skończył mówić, musiał złapać oddech. Widać było, że biegł.

– Już nie... – odpowiedział nieznajomy. W jego głosie nie było słychać żalu ani złości.

– To gdzie teraz pójdziecie? – zapytał farmer z niepokojem. – Przecież już noc!

– Zdamę opuścić waszą osadę i pewnie urządzę obóz gdzieś nieopodal – odpowiedział wędrowiec. – Umiem znaleźć miejsca, gdzie będzie to bezpieczne.

– Ehh... może to trochę głupio z mojej strony, ale...byłem przed chwilą w gospodzie i chciałem...eee...
– farmer próbował wyrazić się jak najlepiej i znaleźć odpowiednie słowa. Chociaż był pewien, że nieznajomy nie jest żadnym arystokratą, to wydarzenia tego wieczoru sprawiły, że chciał mu okazać szacunek. – Chciałem powiedzieć, że...eee... jeśli dalej szukacie noclegu, to proponuję wam izbę i trochę stawy w mojej chacie – skończył mówić i się zarumienił.

– Po tym co się wydarzyło? – zapytał nieznajomy, spoglądając podejrzliwie. – A nie boicie się?

– Was? Chyba nie... Choć przyznaję, że jesteście człowiekiem dziwny, ale zdajecie się uczciwi – mupoksanin miał wrażenie, że lekki uśmiech przebiegł po twarzy wędrowca, ale mogło mu się tylko wydawać. – Przecież chcieliście zapłacić gospodarzowi za nocleg. Inna rzecz, że próbował was obedrzeć ze skóry, łachudra! A żołnierze... Nie wiem co ich dzisiaj napadło, normalnie zachowują się spokojnie. Prawda, że

czasem kogoś obłożą po pysku, ale przecie od tego się nie umiera, nie?! Ale dzisiaj napadli na was jak jacyś zbóje. Nie wiem, co żeście im powiedzieli, ale dobrze, że to się tak skończyło. Strach pomyśleć, jakby doszło do jakiej tragedii – farmer mówił wszystko na jednym oddechu. – I sobie pomyślałem, że to się nie godzi zostawiać człowieka na noc bez dachu nad głową. Widziałem, że już odchodzicie, to do was przybiegłem. Moje gospodarstwo jest zaraz za bramą. To ta duża chata, gdzie w oknach pali się światło.

Nieznajomy spojrzał we wskazanym kierunku i dostrzegł spore domostwo z bardzo zadbanym obejściem. Nawet z daleka wyglądało przytulnie.

– Nie dajcie się prosić. To w końcu święte prawo gościnności. Przecie mawiają, gość w dom, cesarz w dom. – rzekł farmer. – Ja nazywam się Miron.

– Stare prawa są rzadkością, a ich przestrzeganie... – powiedział jakby do siebie nieznajomy i urwał. – Macie rodzinę Mironie?

– Mam żonę Tanię i dwoje dzieci. Syn ma na imię Michel, a córka Nadia. – odpowiedział farmer.

– W takim razie przyjmuję twoje zaproszenie Mironie. Ja nazywam się Rafael – powiedział wędrowiec i wyciągnął rękę w stronę swojego dobrodziejcy, który uściśnął ją energicznie.

Następnie udali się w stronę chaty Mirona. W czasie drogi farmer opowiadał Rafaelowi o swojej rodzinie i pracy na gospodarce, pokazywał obsiane pola i wyrażał obawę o pogodę w czasie żniw. Rafael słuchał wszystkiego z uwagą, tym bardziej, że zaskoczyło go to, że gospodarz rozmawia z nim, jakby się znali kilka lat, a nie minut.

Po chwili dwaj mężczyźni idący w stronę gospodarstwa stali się ledwo widoczni, a następnie zniknęli za zamkniętymi drzwiami chaty Mirona.

Żaden z nich nie wiedział, że za sto lat każde dziecko będzie znało początek tej historii i tę prostą chatę. Że imię Mirona i jego rodziny stanie się legendą. Do tego czasu jednak będzie musiało zostać wylane morze łez, ponieważ droga do wieczności zawsze prowadzi przez wielkie cierpienie...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

storyteller.notwriter, dodano 28.12.2018 10:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.